Rok siódmy. 1 Czerwca 1848 r. Nr. 15.

Wydawca i Redaktor Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

SZÓSTA NOWA PLANETA. (*)

Kepler zastanawiając się bliżéj nad rozłożeniem w przestrzeni planet znanych, gołem okiem widzianych, postrzegł, iż między odległościami planet od słońca, zachodzi pewny związek czyli prawo. Znakomity astronom berliński Bode, przy końcu zeszłego wieku, bliżéj nas zapoznał z tém prawem, i na mocy tegoż, zapowiedział byt nowéj planety między Marsem a Jowiszem krążącéj. Odkrycie czterech małych planet na początku teraźniejszego stulecia, przepowiednię stwierdziło i prawu przez Bodego wskazanemu większéj ważności nadało. Jeżeli wypiszemy szereg liczb następujący:

(*)Patrz Przegląd Naukowy z r. 1846 Nr. 7 i 40.
„ „ „ z r. 1847 Nr. 21, 26 i 31.

0. 3. 6. 12. 24. 48. 96. 192. 384. 768

które, od drugiéj począwszy, tworzą postęp ilorazowy, mający za wyraz pierwszy 3, a stosunek 2, i do każdéj z tych liczb dodamy liczbę 4, wtedy otrzymamy nowy szereg.

4. 7. 10. 16. (28). 52. 100. 196. 388. 772.

wyrażający podziałkę odległości planet od słońca.—Jakoż jeżeli odległość ziemi od słońca wystawimy sobie podzieloną na 10 równych części, wtenczas odległość czyli promień średni drogi Merkurego, zawierać będzie takich części 4; Wenusa 7; Ziemi 10; Marsa 16; Jowisza 52; Saturna 100; Urana 196; Neptuna 388.

Do początku teraźniejszego wieku brakowało jednego wyrazu w powyższym szeregu, dla piątéj planety z porządku, któréj odległość wyrażona jest przez liczbę 28. Astronomowie dotąd zamiast jednéj, odkryli dziewięć małych planet, których odległości od słońca i czasy obiegów mało się różnią od siebie i zapełniają przerwę w szeregu dawniéj dostrzeżoną.

Aby powyższe odległości wyrazić w milach, potrzeba pamiętać że oddalenie ziemi od słońca wynosi przeszło 20 milionów mil geograficznych, a ponieważ na podziałce odległości dla ziemi przypada liczba 10, mnożąc zatém tę odległość przez 2 miliony, znajdziemy odległość ziemi wyrażoną w milach geograficznych, tož samo czyniąc z innemi liczbami szeregu, to jest mnożąc je przez 2 miliony, znajdziemy:

	Odległość od słońca			
Merkurego . .	8	milionów	mil	geograficznych
Wenusa . . .	14	—	—	—
Ziemi	20	—	—	—
Marsa	32	—	—	—
Planet małych .	56	—	—	—
Jowisza . . .	104	—	—	—
Saturna . . .	200	—	—	—
Urana	396	—	—	—.
Neptuna . . .	776	—	—	—

Olbers widząc wielkie podobieństwo między małemi planetami,

pod względem ich odległości od słońca i peryodów, wniósł, że w krainach nieba, między Marsem a Jowiszem, krążyła kiedyś jedna wielka planeta, i że ta przez nadzwyczajne działanie sił wewnętrznych nam nieznanych, rozdzieliła się na kilka lub kilkanaście części. Jakoż przez odkrywanie coraz więcéj planet teleskopowych w przedziale między dwiema wspomnionemi planetami położonych, mniemanie Olbersa coraz bardziéj się potwierdza.

W roku bieżącym przybyła jedna planeta teleskopowa do liczby *Asteroid* poprzednio odkrytych. Astronom angielski Graham w Irlandyi w obserwatorium w Markree-Castle, d. 26 Kwietnia r. b. o trzy kwadranse na dziesiątą wieczór, odkrył nową planetę gołém okiem niewidzialną, mającą postać gwiazdy 10 wielkości. Położenie jéj na niebie oznaczone za pomocą koła południowego jest:

R. 1848 d. 27 kwietnia o godz. 1 min. 8 sek. 29 zrana podług czasu średniego liczonego w Greenwich:

Wznoszenie proste . . .	14 55^m 29^s" 94
Zboczenie południowe . .	12° 31' 37", 9.

Bieg dzienny pozorny planety w kierunku równika niebieskiego, wynosił 1^m 7^s od wschodu na zachód.

— Wymiary drogi téj planety czyli pierwiastki eliptyczne jéj biegu rachowane przez *Goujon* na r. 1848 dzień 27 kwietnia godz. 1, m. 18, sek. 3 czasu średniego paryzkiego są następujące:

Średnia odległość planety od słońca, czyli połowa osi wielkiéj drogi eliptycznéj wynosi: 2,395 promieni średnich drogi ziemskiéj czyli 49½ milionów mil geograficznych.

Mimośród czyli oddalenie ogniska od środka elipsy wyrażony w częściach pół osi wielkiéj 0,11439.

Peryod obiegu planety około słońca . .	3⁷⁄₁₀ lat.
Pochyłość drogi względem ekliptyki . .	5° 8' 44"
Anomalia średnia	118 21 17
Długość punktu przysłonecznego . .	92 41 27
Długość węzła wstępującego	70 4 54.

Ta planeta wymiarami swéj drogi zbliża się najwięcéj do Westy, ale jest nierównie od niéj mniejsza.

Planet teleskopowych czyli Asteroid między Marsem a Jowiszem krążących, znamy dotąd dziesięć i te są: Ceres, Pallas, Juno, Westa, Astrea, Hebe, Iris, Flora, i świeżo w miesiącu kwietniu r. b. odkryta, którą astronom Cooper nazwał Metis.

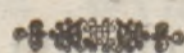
J. B.



KSIĄŻKA PAMIĄTEK.

(JEDNA Z POWIEŚCI CZYTANYCH PRZY KOMINKOWYM OGNIU)

przez Gabryellę.



(Dalszy ciąg).

Ot tak,—rzekła Helusia po chwili namysłu, — grałeś pan jak się ludzie w szynku upijają — zagraj teraz jak to się na Bielany idzie w drugi dzień zielonych świątek — mój Boże, wszakżeć to najpiękniejsza w całym roku uroczystość!—Ja zawsze na ten dzień w moją białą sukienkę się stroję — bo kiedy niebo jest pogodne to już taką pogodą, że tam nas z wysoka wszyscy święci i aniołowie lepiéj widzieć muszą chyba — a ludziom jak wesoło! — w inne dnie choć czas piękny — niejednemu trudno się przybrać do dalszéj wycieczki—w ciągu tygodnia nieraz może myśli sobie że pójdzie gdzie za miasto świeżém powietrzem odetchnąć — a mimowolnie w niedzielę czas mu zejdzie na bruku i wśród tych murów okopciałych. Lecz na zielone świątki — każdy do lasku

nad Wisłę pociągnie, a jak tam pięknie wtedy! — jak pełno ludu! jak te gromady jego ślicznie rozrzucone — a wśród zieleni owe jasne lub jaskrawe kobiet ubiory — a gwar ów ciągły i głośny— Oh! mnie się to wszystko podoba - ja wtenczas dopiero prawdziwie czuję — że mi jest dobrze z ludźmi na tym świecie — że obojętnych i nieznanych ja szczerze kocham w ich poczciwych wrażeniach; że ich szczęście, ich wesołość, ich śmiechy swobodne mnie nawet w smutku moim nie rażą. — Czém jest bliźni, czém brat mój, to ja najlepiéj pojmuję, gdy właśnie jako w dzień ten pomiędzy tłum wejdę — Dziwna rzecz, tłum mię nie przeraża ogromem swoim — nie osamotnia swoją obojętnością — Ah graj pan, graj o moich Bielanach.

Romuald pocałował trzymaną rękę, wziął potém drugą jeszcze, złożył obie jak do pacierza i puścił je lekko — W istocie znać po nim było że jakieś pobożne uczucie ruchem jego kierowało — Zaczął grać, nie piosnkę lecz pieśń poważną i uroczystą, a Helusia znów na swoje miejsce wróciła. Ledwo kilka przegrał taktów, głos jéj zmięszał się z wdziękiem skrzypców i odgadując prawie całe rozwijanie się wydobywanéj z nich melodyi — popłynął wtórem srebrzystym i natchnionym.

Wszystkich słów jéj śpiewu nie przypominam sobie — ale wiem, że w nich było o wielkim dla natury i dla ludzi odpuście — o zesłaniu Ducha Świętego — i wiem że jéj to się układało nie w rymy lecz w jakąś zgodną do muzyki harmonją — jeśli czasem zbiegły się gdzie końcówki, to przypadkiem jedynie, gdyż Helusia nie szukała ich wcale, Helusia, mógłbym powiedzieć nawet, nie tworzyła swéj pieśni, tylko pieśń płynęła przez nią, prawie bezświadomie, jak tchnienie wiatru przez harfę eolską — i zdawało się niby modlitwą, niby echem natury.

— „Oh Boże mój — dziękuję ci — że tyle blasku w powietrzu płynie — Że tyle światła, promieni tyle — To jedno słońce na niebie ma - Oh! Boże mój, dziękuję Ci! — bo gdy odetchnę, to z odetchnieniem - Pierś moja wciąga jasność i czuję — Że każdy oddech świeci w jéj głębi — że każdy oddech promieniem..

„Oh! Boże mój, dziękuję ci! — Wiosna po ziemi wionęła już— I tyle bzów, konwalij, róż — i łąki takie majowe są — Każda gałązka każdego drzewa, Niby krwią ciepłą, sokiem nabrzmiewa, I liść się każdy zieleni w cień — Oh! Boże mój dziękuję Ci — Że prawa Twoje wiecznie świętemi — Że dajesz wiosnę stęschnionéj ziemi — Że co umarło to zmartwychwstaje — Że co istniało to musi być — Że odrodzeniem jest chwila zgonu — Że siłą, mądrość Twego zakonu — i że jest życiem twój lud!...

„Jakiż to wielki świąteczny dzień! — Na niebie taka jasna pogoda — na ziemi wiosna taka dziś młoda — W kościele dzwonów tak głośny dźwięk! — A dzwony biją bo mają nieść — Znękanym ludziom radosną wieść — Że od ich grzechów odjęta kara — Że z ponad głowy miecz już odjęty... Że im zesłany jest Bóg Duch Święty — I żeto odpust w biednym klasztorze — w klasztorze ludzi najnieszczęśliwszych — Co się przed światem musieli skryć — Co żywcem w grobie musieli żyć — Co kiedy wszyscy do koła nich — Szczęściem tak dusze swoje karmili — Jak ciało karmią kawałkiem chleba — A z szczęścia brali siłę i moc — Oni się tylko dokupić nieba — Boleścią mogli i wyrzeczeniem.

„Oh! matko moja pójdźmy tam — i pójdzie z nami tak mnogi lud — i gwarno będzie, wesoło nam — to choć godzinę tak pożyjemy — jak w prawie Bożém znaczone jest! — Mnóstwo nas będzie, a miejsca dość — Mnóstwo nas będzie, a nikt nikomu — Przeszkodą w drodze jego nie stanie — Choć wszyscy przyjdą po część uciechy — Uciechy wszystkim równo wystarczy — I kto się zechce spojrzyć do koła — Temu jednakże serce uderzy — Wielką radością, albo przynajmniéj — Na wielką przyszłość, nadzieją wielką.

„O Boże wielki! o ojcze nasz! — Ty znów dla dzieci twych odpust masz — I znów im wszystkim danem zostanie — Ducha świętego Boskie zesłanie..."

Nie mogę sobie darować że mi téj całéj Helusinéj piosnki pamięć wierniéj i dokładniej nie przechowała — Snują mi się po głowie ustępy jakieś zaledwie—jakieś wyrazy które częściéj od innych wracają — ale nie umiem ich złożyć do końca — Smutna rzecz—bo to jak gdybym pamiątkę po niéj utracił—Zapomnienie jest jedynem ale najzupełniejszém zniszczeniem—Zapomnienie jest nicością — Jabym nie chciał Helusiu moja! —siostrzyczko moja, dziecino moja—oh! jabym nie chciał żeby te dźwięczne piosenki twoje—żeby te promieniejące chwile twego życia, w marną nicość się rozwiały — Ja dla ciebie wróciłem myślą do przeszłości mojéj, wstrząsnąłem gorzkich wspomnień popiołem — żeby z niego twój niepokalany obrazek wydostać — Ale jak widać zapóźno wziąłem się do pracy—Tyle siły wytężyłem pierwéj na odtrącenie w niepamięć upłynionych zdarzeń i wrażeń, że dzisiaj, gdy ich szukam znowu — sam widzę, jak mi wiele już bezpowrotnie zginęło—Dziś ja stary i martwy—cóż dziwnego Helusiu moja—że sobie nuty twego śpiewu i słów myśli twojéj w całości przypomnieć nie mogę.—Ty śpiewałaś głosem pierwszéj młodości,—żywą wiarą twéj duszy i przeczyste wszechpiękna uczucie—Cóż dziwnego Helusiu moja, że ja ciebie już teraz przypomnieć nie mogę...

Romuald z początku na równi się utrzymywał z natchnieniem śpiewającéj dziewczynki — ale im bardziéj głos jéj silniał, im pełniejsze dźwięki i świętsze słowa z piersi jéj wydobywać się zaczęły—tém on cichsze z własnych skrzypców tony wydobywał — i nakoniec zasłuchał się w jéj hymnie i tylko od czasu do czasu pociągnął smyczkiem po jakiéj strunie, która się przeciągłém i uroczystém brzmieniem z nutą spiewu Helusi zmięszała.

Tym razem Helusia nie zesłabła i nie zwątlała jak w ów wieczór, gdy jéj marzeń piosenka cichym westchnieniem rozpłynęła się w powietrzu — Nie,—przez chwilę wprawdzie głos jéj drżał lekko jak gdyby myślą rozdrażnione struny serca trąciła, ale wnet dźwięk téj jednostkowéj boleści przelał się w wyższą i spokojniejszą harmonią—W ostatnim wyrazie rzuciła głosem tak śmiało

i swobodnie — że zdało się jakoby na raz całe jego bogactwo rozwinąć chciała — a gdy umilkła — przez chwilę jeszcze głowa jéj dumnie wzniesioną była, ręka wyciągniętą, a siwe oczy tak pełne blasku i złota jak oczy takich ludzi, co się w przyszłość patrzą.—Niedługo jednak została w téj postawie—Ktoś z obecnych zawołał.

— Oh! mój Boże jakież to piękne.

I dziewczynka drgnęła niby ze snu obudzona i spojrzała po sobie jak gdyby jéj ten ruch zatrzymany, dziwnym się bardzo wydawał, a potém obróciła się ku Romualdowi, i tak samo pobożnie rączęta złożyła jak on jéj złożył kiedy stała przed nim.

Już co wtenczas, to ręczę, Romuald byłby chciał uklęknąć i modlić się do niéj.

Ślusarz ręce zacierał—Młodzi czeladnicy i pan Jakób stolarczyk najlepiéj chwalili, bo milczeli, choć na twarzach wzruszenie znać było. Małgosia powtarzała ciągle:

— Dziękiż Tobie Boże! — i trudno wiedzieć czy jéj na myśli była wdzięczność za śpiew usłyszany, czy za to że Helusi znów się śpiewać chciało — Karolek ze starszym swoim towarzyszem przycichli w głośnéj zabawie — A pani Agnieszka z rozjaśnioną twarzą, z spokojnym uśmiechem, głębokiej lecz cichej radości, słuchała jak jéj pani Piotrowa przywodziła na pamięć wszystkie swoje proroctwa o Helusi przed jéj urodzeniem i po jéj urodzeniu czynione — bo pani Piotrowa była bardzo biegłą wróżbiarką — i co więcéj znaczy, sama sobie w tém względzie najmocniéj wierzyła—Dowiedzieliśmysię też od niéj, że ona przepowiedziała córkę pani Agnieszce, że wytłomaczyła sen jéj na dwa miesiące przed urodzeniem przypadły—a w którym się młodéj ślusarzowéj o kwiatach na ołtarzu śniło — i że gdy nowo-narodzoną córeczkę do chrztu świętego nieśli — z pierwszem wstąpieniem w progi kościelne, organy zagrały pieśnią Veni-Creator—dla jakiejś pary nowożeńców — i że ona, pani Piotrowa, zaraz ztąd wniosek uczyniła—że to pójdzie na szczęście dziewczątka — maleństwo rość będzie w opiece Bożéj, pod dobrym wpływem we-

selnéj godziny — i przychylnego spojrzenia, z jakiém ją zaraz w piérwszém dopełnieniu chrześciańskiego obrządku spotkała.

— Gdyż to wiele znaczy, mówiła pani Piotrowa, oh! bardzo wiele, kiedy na dziecko w chwili chrztu jego, szczęśliwe oczy spojrzą—a na Helusię patrzyło dwoje nowożeńców!

— Tylko moja cioteczko, odezwała się na te słowa dziewczynka, powiedzcie mi, czy to miało znaczyć, że i ja szczęśliwą będę?...

— Oh! tak, szczęśliwą—boby i trudno człowiekowi było —ale widzisz moje dziecko, to miało znaczyć, że niezawodnie coś szczęśliwego dostaniesz na całe życie: jednym daje Bóg w takiéj chwili majątek, drugim dobre zdrowie, — innym honory, a tobie Helusiu dał rozum i głos do śpiewu.

Pani Piotrowa nie miała w użyciu tego słowa „poezya"—gdyż niezawodnie byłaby się niém posłużyła w téj chwili. Mniejsza jednak o wyraz. W prostocie swojéj dobra kobiecina ledwo co o najwyższe nie uderzyła myśli. Miéć siłę, potęgę, talent—czyż to nie jest według jéj powiedzenia, mieć coś szczęśliwego na całe życie, bez szczęścia? Ale czy dar ów, jest darem jednéj chwili bożéj — niespodzianką, przypadkiem, jak tych lub owych oczu spojrzenie?... Ja temu wierzyć nie mogę.

Kiedy się wszyscy rozeszli, Romuald jeszcze wstąpił do mnie na górę: chciał jak widać porozmawiać ze mną, lub raczéj chciał posłuchać tego, co jabym z wrażeń wieczornych według jego własnéj myśli mówił; lecz dla mnie, wrażenia owe poprzedzonemi zostały smutném o Annie wspomnieniem. Jeśli nie chciałem psuć mu dobréj chwili jego, to nie chciałem téż grzeszyć przeciw cierpiącéj, podsycaniem jego wesela—bo sam przed sobą w głębi duszy wierzyłem pannie Irenie i Kazimierzowi—byłem pewny że Anna jest nieszczęśliwą, lekkomyślnie w jéj życiu przez Romualda rzuconém nieszczęściem — ale tu uderzyła mnie zgodność raz przez niego wymówionych wyrazów, z prawdą rzeczywistych zdarzeń. Istotnie pamięć téj kobiety między nim a każdą pomyślnością, padała czarnym i żałobnym cieniem. Teraz naprzykład był on rozradowany, oczarowany, upojony jako ar-

tysta, nowe zdobył skarby dla sztuki, jako człowiek nowe uczucia dla serca —a tymczasem, w tymże samym dniu właśnie, przybyli ludzie, którzy znali Annę— którzy surowo i groźnie zapytać go mogli:

— „Szaleńcze, co zrobiłeś z szczęściem téj kobiety"?—Ulitowałem się swobody jego i nic nie rzekłem o nowo poznanych.

Romuald nie mógł przyczyny milczenia zrozumiéć.

— Czemu ty dziś taki ponury, mój Ludwiku?, zapytał mię wreszcie.

— Ej, zdaje ci się, odrzekłem, chyba to jest taka smutna wesołość.

— Być może — smutna wesołość — prawda, mnie samemu po tym śpiewie śmiać się nie chce, a jednak po tym śpiewie, to tak dobrze na duszy, że jeśli mię w powrocie żebrak jaki spotka, oddam mu niezawodnie nie połę od surduta, ale cały surdut mój;—więcéj zrobię niż święty Marcin.

— Boś też więcéj Panu Bogu się zadłużył.

— Słusznie mówisz—daleko więcéj —bo też ja ci powiadam, że jakiś nieograniczony kredyt w niebie miéć muszę: czego zapragnę tylko, to mi zaraz dają aniołowie. Mnie się też widzi mój Ludwiku, że już ja chyba nigdy z rozpaczy nie umrę—i uśmiechnął się dumny, pewny sam siebie, zaufany w gwiazdę swoję.

— Wiesz co, odezwałem się wtedy trochę wolnym i dobitnym głosem, nie śmiéj się ze mnie ale ci powiem, że jestem czasem zabobonny jak pani Piotrowa— i tak: w dzieciństwie słyszałem, że kiedy kto co pochwali, to trzeba splunąć, by na pochwaloną rzecz zły jakiś urok nie padł; i kiedy kto sam siebie szczęśliwym wyznaje, to trzeba dobrze wkoło się obejrzéć, bo to w wysokie drzewa piorun najprędzéj bije — a w szczęściu człowiek za-wysoko rośnie.

Romuald stanął, wpatrzył się we mnie i z rzewnością powiedział tylko:

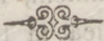
— Biedny Ludwik!

Zapewne musiało mu się zdawać, że mię obojętne słówko ja-

kie, lub inna przewidziana drobnostka w postępowaniu Maryi Reginy uraziła, i że dlatego jedynie posępne myśli przychodzą mi do głowy—a ja także po wyjściu jego rzekłem:

— Biedny Romuald!

(Dalszy ciąg nastąpi).



MODLISZOWICE.

Niespełna o pół mili drogi od Końskich, uderza postacią swoją i rozwalinami, stary, opuszczony modliszowicki zamek...

Okolica nie ma nic w sobie przyjemnego: nędzna wieś po której rozrzucone ubogie chaty, dziwnego kształtu chałupy wieśniacze i zagrody. Oko nigdyby się nie zatrzymało na tych ponurych miejscach i serce nigdyby tutaj nie zatliło, gdyby nie ten stary zamek, o którym mówiliśmy, a do którego tłum wspomnień przywiązany. Bo tutaj są wieże rodzinne, znakomitéj kiedyś w dziejach polskich rodziny,—tu stolica, ognisko rozgałęzionego niegdyś imienia. Ztąd, z tych rozwalisk dzikich, kiedy rozwaliska pałacem, dworcem jeszcze były, wychodził mąż za mężem zbroją przepasany, szczerbić oręż na Tatarach, Szwedach i Turkach. Tutaj, w tych komnatach, na tych miejscach, rodzili się i umierali Modliszowscy. Wymarli wreszcie wszyscy— do ostatniego. Rodzina obca, choć zamożna objęła po nich te mury, i zamek spustoszał, opuścił go dwór wesoły, huczny a świetny; te baszty i strzelnice przestały postrachem być dla Tatarów, dwo-

rzec się w rozwaliny rozsypał, sadzawki wyschły, mech swobodnie wdarł się na krużganki i dachy, — z wielkości pozostały gruzy!

Ale za to wspomnienia świecą podróżnemu, kiedy rzuci okiem na modliszowiécki zamek. Życia tu nie ma, śmierć tylko. Ale wszędzie widać, jak drzymie tu święta przeszłość,– rozbudzi się i wstanie przeszłość jak zmartwych i dziwy rozpocznie. Poezya i przeszłość drzymią, marzą, błąkają się po tych rozwaliskach...

Zamek byłto kiedyś niewielki, ale obronny jak rzadko, podług wszelkich prawideł spółczesnéj sztuki wojennéj. Otaczały go w około szerokie fossy, nalane wodą głęboko; — wysoki okop znajdował się także naokoło zamku, broniąc przystępu do fossy. Za okopem widać było, jak woda oblewała zamek i widać dziś jeszcze mocny mur z kamieni, którym od strony zamku obwarowaną była fossa. Okolica ta była bardzo sucha, nietylko rzek spławnych, ale nawet strumieni nie miała nigdzie w poblizkości; najbliżéj do Pilicy, a jednak i tak będzie mil dziesięć. Modliszowscy panowie zatem, mieli wiele kłopotu, żeby dostać wody do sadzawki, co otaczała zamek. Ale wielkiemi nakładami potrafili usunąć tę przeszkodę. Niedaleko od ich siedziby i rodzinnego gniazda, o małe pół milki, w Sierosławicach, maleńkiéj wioseczce, co stanowiło cząstkę dóbr modliszowickich, są góry, z których wzrok sięga na kilkanaście mil wokoło. Powiadają włościanie tutejsi, że w czas pogodny, przy promieniu wiosennego słońca, bystre oko dojrzy z tych gór wierzchołka nawet świętych murów Częstochowy i krzyżów, co się pochyło unoszą nad kościołem cudownéj Maryi. Z gór Sierosławskich można było dostać rudę żelazną, a nadto z nich jak ze skały sączyła się woda. Modliszowscy panowie wkopali się do wnętrza gór i budowali tu pompy i podziemne kanały. Za pośrednictwem tych sztucznych, niewidzialnych dla oka podkopów, z gór sprowadzali kanałami wodę do sadzawki pod zamkiem, i woda tam spływała obficie. Dzisiaj jeszcze sadzawka jest głęboka; — w dawniejszych czasach miała trzy razy być głębszą jeszcze, a sto-

sownie do tego i okopy otaczające fossę, miały być wyższe nierównie. Zdaje się że pół zamku zasłaniały.

Są jeszcze dzisiaj ślady pomp i kanałów podziemnych i w Sierosławicach i po całéj drodze, którędy spływała massa wody z gór poblizkich. Roboty były massiv, wszystko żelazne i nowe; dziś zgniło wszystko, a rdza zniszczyła żelazo.

Zamek modliszowicki stoi tyłem do gościńca, który dzisiaj prowadzi do Końskich. Nic więc dziwnego, że od téj strony, tak wysokie wznosiły się okopy. Czołem zamek obrócił się na wschód, ku wsiom niedalekim. Ztamtąd od Proczwina wyglądał zamek wspaniale i dumnie. Szeroko przed nim, od strony wjazdu, rozciągał się ogród dla wygody państwa, zapewne spacerowy, z drzewami obciążonemi owocem. Dziś nié ma śladu ogrodu i jego dawnéj piękności.

Kto chciał wjechać do zamku, musiał okrążyć wokoło okop i fossy od strony ogrodu, przejechać na most zwodzony. Nie był to most szeroki. Zwieszał się jednak na nowych żelaznych łańcuchach, które opierały się o bramę prowadzącą na dziedziniec zamkowy. Wprost mostu wznosiła się ta brama nie wysoka, ale przyozdobiona w oznaki dostojności i wielmożności rodziny. Nad bramą wyrobiony z kamienia sterczał herb Nałęcz, a nad herbem pastorał i biskupia infuła. Późniejsze to już, Małachowskich dodatki, o których wspomnimy. Z obu stron wjazdu na murze, co samą bramę stanowił, wyrobione mularską robotą wisiały piramidy, u dołu szerokie, a coraz więcéj zwężające się ku górze, oparte na kulach; piramidy takie często można widzieć na starych grobowcach i pomnikach. Haki do mostu zwodzonego jeszcze sterczą nowo zmurowanemi ankrami. Brama prowadziła na mały dziedziniec. W saméj rzeczy, stanąwszy na tym dziedzińcu, piérwsze uczucie, którego doświadczysz, jest zadziwienie. Tam, z wewnątrz, zamek wydaje się bardzo maleńkim, bardzo ściśniętym, zupełnie jak lilipuckie dziécię. I gdzież tu było miejsce dla dworu, dla kobiet, dla stajen, dla zbrojowni, dla arsenału? Gdzież na tym dziedzińcu miejsce dla kolasek książęcych, dla kolebek wojewodzińskich, dla kasztelańskich cu-

gów, dla biskupiego orszaku? Szczupły, bardzo szczupły jest okręg dla modliszowickiego zamku. Musiał on być jednak kiedyś obszerniejszy, bogatszy, piękniejszy, bo to nie sposób. Póki Modliszowscy tu mieszkali, staropolski przepych, staropolskie życie tu biło. Późniéj Małachowscy zapewne zmniejszyli obwód zamkowy, przerobili dworzec sobie, jakby na willę, jakby na letnie mieszkanie. Bo stolice ich i pałace wznosić się miały w Końskich, Moszczenicy, Renczaju, Białaczewie, Małachowicach...

Na dziedzińcu, z prawéj strony, zaraz wychodząc z bramy, wznosiła się kuchnia zamkowa, w kształcie oddzielnéj baszty i szła aż nad brzeg fossy. Dla symetryi musiało coś podobnego być i z drugiéj strony—ale dziś śladu nie zostało...

Przez dziedziniec wchodziło się do samego gmachu dworcowego. Stara w nim bardzo prosta budownicza sztuka. Brama we środku pałacu ciągnęła się przez całą jego szerokość. Na dole tutaj, w izbach sklepionych i ciemnych, bo okna wysoko były, i słabe przepuszczały światło, mieściła się służba zamkowa, męzka, a może i żeńska, cały frauencymer pani z Modliszowic. Wchodziło się do izb jak do celek z bramy. Każda izba osobno. Mężczyzn komnaty może na jednéj, kobiece może na drugiéj stronie...

Wschody z boku od lewéj ręki pałacu, prowadziły na górę. Ze wschodów prosto się wychodziło na galeryą, która także szła wzdłuż całego dworca aż do murów kaplicy. Galerya ta była jakby gankiem dla państwa. Może tutaj po obiedzie wychodzili państwo z gośćmi swojemi i dworem i bawili się przyjemną rozmową, to o Kochanowskim Janie, to o Zamojskim Janie, to o królu Zygmuncie trzecim; może na drogę ztąd wyglądali stęschnionemi oczyma na posłańca, co miał im przynieść nowinę od syna z niewoli tureckiéj, z jassyru. A może ich tam nieraz spotkał goniec z radosną wieścią od dworu, z patentem jakim, z przywilejem, — goniec z południa, — to od Krakowa, — goniec z północy, od piasków Mazowsza,—to z Warszawy.

W środku pałacu i galeryi drzwi prowadziły do sieni. Nad sienią znać jeszcze stary, wytarty napis łaciński:

Christus Rex fortis, venit in pace, Deusque
Homo factus est. Si Deus nobiscum, quis contra nos?

W napisie tym widać serce i sposób myślenia dawnych Polaków i panów na modliszowickim zamku. Oni ciągle tylko myślą o Bogu, każdą sprawę swoją poświęcają mu na cześć i świętym krzyżem zdobią ściany i mury swoich pałaców. Prosto do serca, do uczucia trafia ten szczery niewyszukany napis: „Chrystus król siły, przyszedł do nas w pokoju i Bog stał się człowiekiem. Jeżeli Bóg z nami, któż przeciw nam?"

Założyciel modliszowickiego zamku lubił widać i poezyą i napisy. Są w sieni ślady, że napisów tutaj było nierównie więcéj. Po lewéj stronie, pyszne te mury nie mieszczą na sobie żadnych przekonywających dowodów, za to po prawéj każde niewprawne oko dostrzeże nawet litery, ale myśli nie chwyci rozum, nowe jakieś i bardzo niedawne wapno, zatarło pismo, z wielką szkodą dla starożytników, ludzi i wspomnień. Musiały tam być jednak wiersze pisane we dwa rzędy, przez całą szerokość pałacu. — Dwóch takich napisów są ślady widoczne. Z drugiego zaraz od galeryi, przeczytaliśmy tylko drugi wiérsz: „Gdzie gospodarz ladajaki." Nam się zdaje, że muszą to być Kochanowskiego wiersze, albo jakiego innego spółczesnego poety. Modliszowicki pan wybrał sobie to z pism uczonych swojego czasu, co mu najwięcéj dogodne było do jego położenia i chęci, i wiersze pojedyncze, oderwane zdanie zapewne, drukowanemi literami na czarno, kazał powypisywać na swoim pałacu. Kto wie, czy Kochanowski uproszony od pana modliszowickiego zamku, umyślnie dla zamku nie ułożył kilku wierszy, kilku zadań w rymy? Wieszcz Czarnoleski był sandomierskim ziemianinem. Matka jego Anna z Białaczowa Odrowężówna rodem była z tych okolic, bo Białaczów ztąd leży o dwie mile tylko. Modliszowice zatém leżały w jego stronach rodzinnych i miłych sercu. Bywał tu nieraz Jan z Czarnolesia, nie zgrzeszym bardzo, jeżeli wniosek taki dopuścim. Znał zapewne niejednego z Modliszowskich — może z niemi nawet

był połączony przyjaźnią. I czemużby nie mógł kiedy być tutaj w posiwiałym dworcu, z czaszą w ręku, z pieśnią na ustach, na jakim obrzędzie weselnym, na jakiéj uroczystości rodzinnéj pana z Modliszowic?

Jak szczupłym wydaje się nasz pałac z dziedzińca, tak szczupłym jest w istocie. Z sieni zaraz po prawéj ręce, drzwi jedne wiodły do wielkiéj izby gościnnéj (dziś powiedzielibyśmy: do salonu). Obszerny to był pokój, jedyny, najobszerniejszy w zamku. Tutaj zapewnie odbywały się hucznо wszystkie uroczystości miejscowe. Czas zatarł ślady jakie nosiła powierzchowność téj izby. Sklepienia w łuki kształtne musiały się tutaj zaginać, a światło przepuszczały staroświeckie okna. Widok z okień obejmował rozległą przestrzeń, przez pole, do lasow, co mierzchły jakby za błękitem nieba. Dzisiaj stąpać po téj izbie trzeba ostrożnie i zlekka, bo pod mchem zielonym są dziury, załomy i można spotkać tutaj przez nieostrożność nieszczęście. Z téj izby w kąciku od strony galeryi, którąśmy opisali, ciekawy wchodzi do małego pokoiku, okrągłego, z trzema okrągłemi także okienkami, maleńkiemi we framugach. To miejsce było kaplicą zamkową, która prócz maleńkiego ołtarza, mogła objąć najwięcéj dziesięć, dwanaście osób. Dla państwa więc, kiedy tutaj mszy słuchali, musiała służba wnosić klęczniki, bo na ławki nie było miejsca. Kaplica nie była już w pałacu, lecz w baszcie zamkowéj, która od strony północnéj dotykała do zamku. Baszta ta była okrągła, wypukła, ze strzelnicami na broń ręczną u dołu, pod kaplicą.

Lewa strona pałacu od wejścia z sieni, zajmowała tylko trzy pokoje, z których jeden znajdował się także w baszcie od strony południowéj, zupełnie na prost kaplicy. Te dwie tylko baszty miał zamek i to mu nadawało jakąś postać dziką, odrębną, uderzało jakąś dziką nieforemnością budowy i jéj kształtów. Gdyby od jednéj do drugiéj wyprowadzić linią prostą, linia ta ukośnie przecięłaby zamek cały na dwie zresztą bliźnięce, do siebie podobne połowy. Od wschodu i zachodu zamek nie miał baszt żadnych, żadnych zaokrągleń, ani przybudowek.

Jak po prawéj stronie od sieni, całą połowę dworca zajmowała jedna tylko wielka izba, którąśmy gościnną przezwali, tak znowu po lewéj, w samym pałacu dwie się mieściło, naturalnie o pół mniejsze od tamtéj. Z trzeciego pokoiku w baszcie południowéj, prowadziły drzwi na podwórze, a że za niemi krużganka nie było, wnosimy, że tu był wychód jakiś prosto nad fossę. I w saméj rzeczy, od piętra tutaj aż do ziemi wystają z muru haki żelaza i ankry. Z tego pokoiku w baszcie, zdaje się także, wzdłuż całego dworca, ciągnęła się również galerya jakby dla symetryi z tą, co była od wschodów i szła aż pod kaplicę, do baszty z kaplicą.

Prócz więc izb dla służby na dole, dla państwa modliszowickiego nie było wiele komnat mieszkalnych w samym zamku. Tak się przynajmniéj wydaje zaraz z piérwszego na dworzec wejrzenia. Jest przecież podanie, któremu wierzyć musim. Podanie mówi, że pałac wznosił się na dwa piętra i tak niezawodnie być musiało. Na drugiém piętrze mieściło się wszystko, co nie mieściło się na dole i w komnatach głównych. I tak, na dole była służba, na piérwszém piętrze izba gościnna, a w trzech pokoikach po drugiéj stronie mieszkanie pana i pani z Modliszowic; pan w baszcie zapewne gościł. Na drugiém piętrze siedziały może dzieci państwa, bracia i siostry, dalsza rodzina, dwór wyższy, a może frauencymer Modliszowickiéj pani, jeżeli na dole mieściła się sama służba męzka. Był tu zapewne i pokoik mały dla księdza kapelana, spowiednika i kaznodziei państwa.

A i tak zawsze, modliszowicki zamek zaszczupły był dla dworu świetnego. Ztąd w czasach Jagiellońskich musiał on inaczéj wyglądać, rozsiadł się zapewne po okolicy, świecił zdaleka basztami i murami. Podanie coś tutaj mówi o napadach tatarskich. Musiały więc tu być stajnie, zbrojownia, obszerny dziedziniec dla dział, obszerne komnaty dla rycerstwa. Są jeszcze pod zamkiem całym ogromne piwnice, a w piwnicach tych, nie był tylko skład wina i potrzeb gospodarskich. Budowniczy porobił tutaj kominy i jakby mieszkalne komnaty. Mieszkali więc nawet lu-

dzie w podziemiach. Zdaje się zatém, że budowli na zamku więcéj było, — a jeżeli dworzec sam nie pomieścił służby i dworu, to musiały być domki za fossą, za okopem, naokoło pałacu.

W późniejszych dopiéro czasach musiał tak zmaléć, tak się ścisnąć w szczupłym obrębie modliszowicki zamek.

Otóż jak wyglądał dworzec, który był gniazdem rodzinném jednéj gałęzi dawnego domu Duninów. Miał postać starą, dziką, obronną, najeżoną działami. Wszędzie prócz tego strzelnice, gdzie tylko okiem rzucisz—strzelnice, — w bramie na działa, w samym zamku na działa, w basztach na broń ręczną, na strzelby. Nadto od strony drogi do Końskich, z tyłu dworca widać ślady, w samym środku budowli, dwóch skarp olbrzymich, umocowanych, które się opierały o fossę, a szły do piérwszego piętra. Nie rozumiemy przeznaczenia tych murów: może podtrzymywały gmach, który z czasem mógł się rysować od starości? Skarpy te są widocznie późniejsze i psuły foremność całéj, pięknéj zresztą budowli. W baszcie południowéj, u któréj znajdował się pokoik i wychód po ankrach nad fosę, jest strzelnica na działo, skierowana ku północy. Gdyby te skarpy, o których mówim, nie były późniejsze, działo miotałoby pioruny na same skarpy i zamek. Strzelnica więc wcześniejszą była, powstała razem z basztą, z dworcem całym. Inaczéj strzelałażby na skarpy?

Podanie przywiązane do murów pałacowych, które się ciągle podróżnemu nawija, rozpowiada wiele o jakimś biskupie, który tu w czasach bardzo dawnych miał przesiadywać. W istocie dla jednego biskupa, modliszowicki zamek mógł wystarczać, mógł zawierać wszelkie przyjemności i dogodności życia, kiedy tu siedział sam przewielebny, zdala od blasków dworu królewskiego, od panów i braci szlachty. A jednak myśmy sądzili, że może myli się podanie i szukaliśmy w pamięci, w kronikach, w przywilejach jakiego biskupa z Modliszowickiéj rodziny Duninów,— ale naprózno. Podanie przecież upornie obstawało przy swojém. W bramie, nad wjazdem były także pokoje, a w nich

mieściła się muzyka biskupia—huczna, wesoła. W kaplicy, w baszcie, często miał się modlić biskup, a potém po nabożeństwie, wsparty o framugę, w milczeniu, w dumach pogrążony, spoglądał na pole i oko jego ginęło na widokręgu lasów. Napisy pobożne na murach, mógł także kłaść biskup. A potém jeszcze infuła i pastorał na bramie, były to widoczne oznaki dostojności biskupiéj, — były to dowody, że podanie niezupełnie się myli. Słyszeliśmy nadto od ekonoma dzisiejszéj wioski, że umarł niedawno wieśniak staruszek, który żył lat 105 na ziemi, i że ten wieśniak staruszek, rozpowiadał nieraz ciekawym, jak słyszał od dziadka swojego o muzyce biskupiéj w bramie. Dziadek widział jeszcze dwór tutaj cały w Modliszowicach, a postępując daléj na wnioskach, przyjęliśmy za prawdę, że to mogło być ze 150 lat temu przynajmniéj. A wtedy mniéj więcéj rozjaśniła się zagadka. Gotowi byliśmy przypuścić, że w Modliszowicach, mieszkał Jan Małachowski biskup chełmiński i podkanclerz koronny, potém aż do śmierci biskup krakowski i książę siewierski (um. 1699). W tym czasie Małachowscy wznosili się z tłumu szlachty do senatorskich i koronnych dostojeństw. Końskie, obok Modliszowic już prawem kupna należało do téj nowéj rodziny, która niedługo przejść miała w grono rodów arystokratycznych polskich. Modliszowice przeszły zapewne wtenczas w ich ręce, bo w tymże jakoś czasie i gałąź Duninów, którzy w tych okolicach panowali, wygasła. Biskup więc Jan Małachowski mógł tutaj mieszkać i utrzymywać dwór swój i kapelę w bramie. W swoim czasie byłto człowiek wielkiego znaczenia i wpływu. Przyjeżdżać więc mógł nieraz z Krakowa, gdzie miał swoję stolicę i katedrę, na łono rodziny do Końskich, i wtedy zapewne stawał osobnym dworem w niezbyt oddalonym modliszowickim zamku. Na łonie rodziny odpoczywał po pracach senatorskich nasz biskup. Dworzec ten mógł być jeszcze stanowiskiem po drodze, kiedy z Krakowa jechał na sejm do Warszawy i kiedy po sejmie wracał ze stolicy do swojego biskupstwa. Zamek był wtedy ożywiony. Nieraz tu może liczne bywały zjazdy panów z okolic, Nieraz tu może karabele szczękały, z dział grzmiały wi-

waty, kurzyły się czupryny; z ust, z oczu, z całéj twarzy nagromadzonéj tłumnie braci szlachty, przebijała wesołość...

Łatwo będzie zrobić nam jeszcze jeden domysł. Mówiliśmy że zamek modliszowicki, chociaż o dwoch piętrach, szczupłym był przez to samo i niepodobnym do wielkich zamków obronnych w Polsce, że sam dla siebie nie wystarczał i twierdzą przeciw wrogowi kraju być nie mógł. Nam się więc zdaje, że dzisiejsze rozwaliny powstały na rozwaliskach dawnych. Po wygaśnieniu dziedziców Modliszowic, po zajęciu wsi na własność rodziny Małachowskich, biskup Jan, podług naszego domysłu, dawny dworzec przerobił na nowo, nadał mu także obronną postać jak przedtém, ale ścisnął go, zmniejszył znacznie, i zamiast dawnéj wielkiéj twierdzy, co miała odpierać napady tatarskie i szwedzkie, na gruzach zamku staréj rodziny, założył dla siebie pałacyk piękny, obronny, z tarasami, działami i kaplicą.

Dzisiejszy dziedzic wioski modliszowickiéj, rozpowiadał nam, że mieszkał tutaj, niedawno jeszcze, Szembek biskup płocki. Być może,—ale do żadnego Szembeka nie przypada podanie, o biskupie jakieśmy tu podali. Trzech było Szembeków na płockiéj stolicy. Najdawniejszy z nich Józef Eustachy umarł w Pułtusku d. 1 kwietnia 1759. Drugi Krzysztof Hilary, przed biskupstwem, nuncyusz papiezki w Polsce, um. 5 września 1797 w Krakowie; ostatni, a trzeci z kolei Onufry Kajetan, zakończył życie 30 kwi. 1808. Najdawniejszy z nich Józef, jeżeli tu mieszkał kiedy, (a bardzo wątpię, bo cóżby robił w tych stronach? chybaby tutaj bawił czasowo, w gościnie u kanclerza Jana Małachowskiego, a podanie mówi o stałém przebywaniu biskupa i kapeli w bramie), jeżeliby tu przesiadywał kiedy, powtarzamy, biskup Józef Eustachy, to i wieśniak ten co umarł niedawno a żył lat 105, powinienby go znać i pamiętać. Wieśniak ten jednak także się opierał na podaniu i mówił tylko co słyszał od dziadka, więc nie znał biskupa. Podanie zatém sięga więcéj jeszcze oddalonéj epoki,—a wtenczas na myśl przychodzi Jan Małachowski. Że on odnowił, odbudował dworzec, to zdają się poświadczać znaki biskupie na bramie, bo Modliszowicki obywatel nie ksiądz

nie stawiłby na zamku oznak dostojności kościelnéj. A zresztą na bramie świeci herb Nałęcz, — więc to budowa Małachowskich (*).

Ta powieść niczém nieuzasadniona o Szembeku, a zresztą jeden rzut oka na mury zamkowe, same nawet podania świéże z niedawnych czasów, rodzą mimowolnie myśl, że niedawno, bardzo niedawno jeszcze te smutne i ponure dziś rozwaliska, opuściło życie. Świéży to trup jeszcze, świéża to mogiła. Przed dwudziestu kilku laty, mieszkał tu w bramie, gdzie niegdyś mieściła się muzyka biskupia, oficer wojsk polskich Dąbrowski; z kuchni dzisiaj się jeszcze kurzy, na dole mieści się jeszcze służba dzisiejszego dziedzica. W piwnicach są składy i wino stoi w beczkach. Lat jeszcze może pięćdziesięciu nié ma, a te mury były mieszkalne, a ten ponury dworzec nie był grudą rozwalin! Dziś straszny obraz opuszczenia, nieładu i nędzy! Wdzierać się na piętro niebezpiecznie a i po komnatach dworcowych trzeba przechodzić z ostrożnością! Zielona trawa porosła na murach, mech brzydki rozesłał się po izbie gościnnéj. Stoją nagie mury wystawione na wilgoć, na śniég i dészcz, na grzmoty i błyskawice, na wszystkie zmiany powietrza! Chwilka czasu jeszcze,—lat dziesięć,—nie więcéj,—te mury w proch się rozsypią,— za lat kilka, dziesięć, i śladu modliszowickiego pałacu nie będzie. Żal, boleść pomyśléć — toćto święte te mury— wszak wśród nich, nie jeden wojownik, starosta, kasztelan, dygnitarz przepędził życie pełne przygód, wspomnień, pełne zasług i sławy dla szczęścia kraju, dla rodziny... Poezya mgli się na

(*) Stan. Małachowski dziedzic, opowiadał nam wypadek, który miał niby miejsce w murach modliszowickich, a któryby znakomicie podniósł znaczenie historyczne zamku. Miał się tutaj odbyć zjazd Karola Szwedzkiego z Rakocym, gdzie piérwszy raz zagajono o rozbiorze kraju. Zajrzeliśmy do Kochowskiego i Rudawskiego. Zjazd ten odbył się w Modliborzycach 11 kwiet. 1657 nie w Modliszowicach. Rudawski winien, bo Modliborzyce przezwał Modliszewem. Patrz Staroż. Polska t. II, str. 298.

tych rozwaliskach—nie będzie rozwalin, to i poezya z nich uleci i nowe, z naszych czasów, już się utworzą podania...

A jednak takby to mało kosztowało nakładu i pracy, zachować dla odległéj jeszcze potomności te żywotne szczątki. Poszyć choćby słomą dworzec, rozwaliny żyłyby jeszcze długo... Wprawdzie, dziwnieby odbijała słoma, to poszycie na modliszowickim zamku,—ale i to przynajmniéj dobrze; kiedy szkoda złotówki. Ekonom radził to dziedzicowi — „poszyj lepiéj chłopu chałupę” — odpowiedział dziedzic, — a myśmy prawie temu nie wiérzyli, boć pańskie dochody wystarczyłyby i na chałupę dla chłopa i na pokrycie ruin. Widzicie—słomy nawet szkoda, dla pomnika może Jagiellońskich czasów!...

Ciekawe są dzieje gmachów i rozwalin. Myśl błąkać się lubi po murach starych, bo tam myśl serce prowadzi. Ale ciekawsze są, piękniejsze nierównie dzieje rodzin, co żyły na zwaliskach gmachów dawnych. Z żalem spoglądamy na opustoszały zamek modliszowicki. Ale z większym jeszcze żalem, z głębszém westchnieniem spoglądamy na dzieje rodziny Modliszowskich. Rodzina ta już wygasła—imię stało się pamiątką tylko, a było to jednak imię zasłużone, wojownicze, jak każde imię szlacheckie dawnéj Polski. W Niesieckim, Paprockim i Okolskim, w starych herbarzach, w kilku broszurach i drukach, zostało to imię i leży warstwą na innych, jak we wnętrznościach matki naszéj—za nim leżą warstwy i pokłady ziemne. Z tych herbarzów i wspomnień postaramy się powieść wydawać o losach rodziny Modliszowskich, jakeśmy wystawili przed oczy naszego czytelnika postać dawnego zamku, który już dziś nie istnieje. Ale powieść nasza będzie miała mało faktów, bo na niewielu wesprze się podaniach; — mało zawsze życia, choćbyśmy ją chcieli serdecznie natchnąć pełném uroku życiem, tak, żeby w wyobraźni naszéj powstały całkiem, bo w zbroi jakby do boju postaci dawne i opowiedziały nam prostemi słowy o swojém starém, rycerskiém i obozowém życiu...

Duninów ród w Polsce, sięga początkami swojemi czasów Bolesława Krzywoustego. Praojciec nazwisko miał wziąść począt-

kowo z Danii, i u nas w Lechii, doszedł znakomitych dostojeństw. Był on prawą ręką Władysława III, syna Krzywoustego, i Naruszewicz ze starych kronik opowiada anegdotę, która rozerwała ten związek możnego pana z książęciem krakowskim. Nam się nie zdaje, żeby Piotr Dunin wyszedł koniecznie z Danii. Nazwisko Dunin wiele podobne do Danii? kto wie, czy nie od niéj pochodzi? a ten wniosek już bardzo wiele objaśnia. Była to moda w dawnych czasach, zajmować się tém etymologiczném śledzeniem wyrazów i z ludzi tworzyć nazwiska rzeczy, od rzeczy nazywać ludzi. Zresztą przychodzień, cudzoziemiec, nowy obywatel, zyskałżeby tyle od razu w Polsce znaczenia, ile go miał Piotr Duńczyk? Był Duńczyk wielkorządcą Szląska i mieszkał w Wrocławiu. A kiedy potém rozszedł się z Władysławem książęciem, poświęcił się cały pobożności. I rzadka, jedyna to była pobożność. Ogromne dochody swoje z dóbr, szeroko i daleko rozrzuconych po Lechii, obracał Duńczyk tylko na sławę Boga. Stawił mu kościoły, budował świątynie. Najdawniéjsze prawie kopuły w Polsce, które do naszych czasów przetrwały, jemu winne swój początek. Jedne uposażył, drugie przyozdobił, trzecie przebudował, czwarte wystawił na nowo. Sobieszczański w swojém dziele: „O zabytkach sztuk pięknych w dawnéj Polsce" wylicza te kościoły, a jednak wszystkich doliczyć się nie mógł. I w saméj rzeczy zadanie trudne. Kościołów tych było ze siedmdziesiąt.

Jak z pnia wyrasta drzewo, a z drzewa tysiąc strzela gałęzi w powietrze, tak z jednego Piotra Duńczyka, rozrodziło się na niezliczone odnogi wielkie imię Duninów, herbu Łabędź.

Kiedy gałąź Modliszowskich oddzieliła się od innych, tego nie wiemy. Było to jednak dawno, przeszło czterysta lat temu, pod koniec XIV albo na początku XV wieku. Metryk rodziny nie zostało i wspomnień o Modliszowskich nié ma po kronikach.

W herbarzach znajdujemy aż trzy domy Modliszowskich, herbu Łabędź, Ostoja i Topór (*). Toporczykowie od dawnych czasów

(*) Niesiecki t. III.

osiedli w województwie kaliskiém. Łabędziowie byli zbyt rozgałęzieni i mieszkali po różnych, odległych od siebie powiatach. W wieku XV znajdujemy ich na Kujawach. Zdaje się, że na Kujawach potrzeba nawet szukać ich pierwotnego gniazda, potém dopiéro mogli się rozejść po innych województwach. Niesiecki cytuje w Koronie swojej kazanie Jacka Przetockiego pod tytułem Łabędź, poświęcone czci Modliszowskich-Duninów. Kaznodzieja przytacza tam imię Jędrzeja Dunina z Krajewa, dziedzica w Modliszowicach, który był podkomorzym kujawskim. To najdawniejszy ślad rodziny. Za Jędrzejem następuje drugi Stefan Dunin z Modliszowic, dziedzic na *Konecku*, także podkomorzy kujawski w r. 1491. Ten Stefan wiele daje do myślenia. Nie wiem czy *Koneck*, ma oznaczać późniejsze miasteczko Końskie, ale to wiem z pewnością, że Końskie po łacinie nazywano *Conecia*, bo i sam kościół w Końskich zwał się *Ecclesia Conecensis.* Miałożby *Koneck* być złém tłumaczeniem łacińskiego wyrazu *Conecia*? Zdaje się, bo jakkolwiek bądź, a to uderza, że syn Stefana podkomorzego, Hieronim, już w kościele Śgo Wojciecha i Mikołaja w Końskich, stawiał z marmuru nagrobki swoim rodzicom. Był więc w saméj rzeczy Stefan dziedzicem na Końskich? Nie śmiemy temu jawnie zaprzeczać. I chociaż w aktach konsystorza łowickiego mamy pod r. 1492 wydaną powtórną erekcyą kościoła w Końskich przez Zbigniewa arcybiskupa gnieźnień., chociaż czytamy wyraźnie w erekcyi, że ksiądz Stanisław Odrowąż, dziedzic w Końskich, powodem był do wydania tego nowego aktu, przecież to wyrażenie: *dziedzic na Końskich*, nie powinnoby nas tak wielce zadziwiać. Ze wszystkich rodzin Odrowążów, najwięcéj jakoś skrył się przed oczami historyi ród Odrowążów konieckich. Zamknięty w sobie, nie szukał związków znakomitych, a dzielił się na kilka pokoleń. Późniejsze więc nazwisko Końskie, bardzo starożytne, musiało się także bez końca rozdzielać na cząstki. Przyszło do tego, że miasteczko liczyło wielu dziedziców, dawnego rodu wprawdzie, ale niebogatych. Wielu Konieckich przywdziewało sukienki duchowne, żeby żyć chlebem duchownym; bywali pospolicie proboszczami w Końskich.

Niemożnaż przypuścić, że od tych urodzonych Konieckich, cząsteczki miasteczka poskupywali Modliszowscy? A jeżeli tak, słusznie Modliszowscy pisać się mogli dziedzicami na Końskich. Końskie cząstkami zatém mogły być wtedy w ręku wielu Konieckich, a cząsteczkami należéć i do Stefana, podkomorzego kujawskiego.

Bo i to jeszcze dziwna. Okolica, którą opisujem, jeszcze za Piastów gniazdem była Odrowążów. Tu krok każdy wskazuje Odrowążów. Ślad każdy naprowadza na Odrowążów. Na mil kilka wokoło, wszędzie tu pamiątka Odrowążów. Tymczasem o pół mili od Końskich, w samym środku posiadłości Odrowążów, spotykamy Duninów Modliszowskich. Zkąd się tu wzięli Modliszowscy, kiedy to ziemia obca im była, kiedy to obce dziedziny? Inaczéj niepodobna przypuścić, tylko, że te okolice dostały się nowym przychodniom drogą kupna i to w czasie późniejszym. Ale takim sposobem i dzisiejsze Modliszowice Modliszowicami nie były. Duninowie Modliszowscy musieli gdzieindziéj miéć gniazdo swoje rodzinne i wieś, od któréj wzięli nazwisko. Czy w saméj rzeczy, nie pochodzą oni z Kujaw? albo z innych stron Wielkopolski? Z Kujaw przenieśli się zapewne do województwa sandomierskiego, bo Niesiecki powiada, że ta rozrodzona familia po wielu rozsiadła się ziemiach i powiatach. Przeniosłszy się tutaj Modliszowscy, zbudowali może stary dzisiejszy zamek i nazwali wieś Modliszowicami. Parafia, do któréj wieś należała, była Końskich. Niesposób pomyśléć, żeby Modliszowicki pan nie miał prawa jakiegoś do Końskich i do kościoła. Samo przecież chowanie w kościele parafialnym, coś znaczy.

Są to wprawdzie wszystko domysły historyczne, ale podajemy je w szczerości serca, bo mają za sobą podania i prawdopobieństwo; tak dziwnie plotą się, zgadzają fakta. Stefan podkomorzy kujawski mógł tutaj piérwszy osiąść w Sandomierskiém, na Odrowążów dziedzinie, kiedy Odrowążowie już się rozstrzelili, rozbiegli po ziemi polskiéj...

Następuje druga trudność do rozwiązania. Podług Niesieckiego, synem Stefana podkomorzego z Kujaw, miał być Hieronim,

mąż rycerski, który zdaje się musiał miéć dobra w Mazowszu, bo tam piastował urzędy, dostojności ziemskie. Był starostą łomżyńskim i zambrowskim, wreszcie podkomorzym płockim (w r. 1566). Starowolski w dziele *Monumenta* str. 679 wypisuje cały jego nagrobek i powiada, że Hieronim umarł 1567 i był tylko podkomorzym płockim. Tymczasem są podania, że ten Modliszowski na niewiele czasu przed śmiercią został i kasztelanem małogoskim w województwie sandomierskiém. Między nagrobkami w kościele parafialnym w Końskich, znajdujemy jeden, który właśnie Hieronim Modliszowski, podkomorzy płocki, starosta łomżyński i kolneński (to nowa dostojność) wystawił rodzicom swoim (*). Między pogrobowemi pochwałami, syn na wieczną pamiątkę ryje na kamieniu, że ojciec jego pogardzał dostojnościami świeckiemi, jakie mu z ręki króla dostawały się, i że tylko czcią dla Boga oddychał, a żona męża naśladowała w téj czci serdecznéj a świętéj. Nie można odczytać w zupełności piérwszych dwóch wierszy nagrobku, — ale tam coś o Zofii córce Jędrzeja Modliszowskiego z ......atowa i Urszuli z Ruskowic. Kończy się, że ten grobowiec stawia Hieronim dla rodziców. Nie rozumiemy tego dobrze: z Niesieckiego wiemy, że Hieronim był synem Stefana, z nagrobku zdaje się że Andrzeja. Dwóch osobnych Hieronimów nie przypuszczamy, bo to właśnie jedna osoba jak widać z przytoczonych godności.

Niesiecki wylicza daléj szereg Modliszowskich. Synami Hieronima kasztelana małogoskiego mieli być, Jan i kilku jeszcze innych, których nie znamy z imienia. Jana zachowały podania, a to dla następującéj okoliczności: Wstąpił on do stanu duchownego, i wyświęcił się na księdza. Zaraz na młodego kapłana zlały się prelatury wysokie i bogate beneficya. Został nareszcie kanonikiem płockim. Przypisać to należy wpływowi, zasługom ojca, bo Jan dopiéro puszczał się na świat, szukał dla siebie pola dla czynów obywatelskich. I wpływ ojca był możny, kiedy dla syna, dostojności tyle potrafił nazbiérać. Ni mniéj, ni więcéj, Jan

(*) Patrz tegoroczny kalendarzyk polityczny Radziszewskiego (1848).

miał aż 24 beneficya i naturalnie, ogromne z nich dochody. Młody człowiek nie znał ceny grosza, nie wiedział, ileto łez i nędzy kosztuje praca ludzka... Żył więc w zbytkach,—wylał się dla rozpusty, wesołych rozkoszy, dla przyjaźni z małemi ludźmi, co mu nadskakiwali, a tém nadskakiwaniem zasiewali zepsucie w jego sercu. Raz Jan znajdował się w pewném towarzystwie i chwalić się zaczął ze swoich dochodów, ze swoich 24 beneficyów. Ciekawi słuchacze proszą go, żeby wyliczył urzędy swoje. Liczy Jan, ale w żaden sposób doliczyć się nie może. Oto dwadzieścia, 21, 22, 23... dwudziestego czwartego beneficyum w żaden sposób doliczyć się nie może. Probuje raz, drugi i trzeci. Ani sposób. Wtém przestrach zdejmuje Jana: słyszy wyraźnie głos jakiś z kąta, który grzmi mu piorunem do uszów: „*będziesz miał u mnie w piekle dwudzieste czwarte beneficyum.*" Byłto więc czart, który ostrzegał Jana. Przeląkł się kanonik, a teraz dopiéro zrozumiał że posiadał wbrew kanonów tyle dostojności duchownych, że dbał więcéj o byt doczesny, jak o duszę, po śmierci ciała. Przejął się zaraz skruchą; zrzekł się dochodów i pretensyj bogatych, rzucił Polskę, pojechał do Niemiec, oddany modlitwie tylko i pobożności.

W Niemczech upodobał sobie nowy wtedy zakon kapucyński. Niedługo potém przyjął habit zakonny,—drugi z Polaków (*). Umarł w wielkiéj świętobliwości.

W tymże jakoś czasie żyło dwóch innych Modliszowskich, Wojciech i Jan. Byli to żupnicy ruscy i bydgoscy.

Drugi z domu, starosta łomżyński i zambrowski, był Jędrzéj,— inaczéj nazywany Jerzy. Długie on lata przepędził na dworze królewskim i ożenił się z Dembińską herbu Rawicz, starościanką chęcińską, zdaje się córką Stanisława żupnika chęcińskiego i olkuskiego. Związek to był pod każdym względem znakomity! Trzech synów miał Jędrzéj z Dembińskiej. Najstarszy Wojciech

(*) Pierwszy kapucyn Polak, był Jan Dembiński, syn Walentego, kanclerzyc koronny; wstąpił do zakonu 1585 r. O Janie pisze Niesiecki, t. III, str. 283.

Konstanty, był starostą radoszyckim, wojnickim i lutomirskim. Pisał się z Końskich w Modliszowicach. Tak więc przypuszczenie nasze, o którém wyżéj pisaliśmy, że Modliszowscy posiadali część Końskich, coraz więcéj nabiéra wagi. Wojciech mieszkał ciągle w Modliszowicach,—mamy tego ujęte ślady aż do r. 1628. W tym bowiem roku, razem z Anną Cieszkowską z Sokołowa do chrztu trzymał dnia 2 kwietnia w kościele parafialnym w Końskich Jana Wojciecha syna Anny i Mikołaja Janickiego z Lipowiec. Dzieci po nim nie zostało.

Drugi z kolei brat Wojciecha, nazywał się Mikołaj. Młoda krew zawiodła Mikołaja daleko od rodzinnéj ziemi. Zwiedził Indye wschodnie i podróżował długo nad Gangesem. Wróciwszy do Polski oddał się obywatelskiemu życiu; deputatem był na trybunały, posłem na sejmy. Dosłużył się wreszcie wysokiéj godności, został starostą łomżyńskim. Ożenił się najprzód z Grzymałtowską, kasztelanką sier., potém wziął wdowę po Janie Potockim, staroście tłumackim, z domu Odrowążankę. Dwie tylko córki zostały po Mikołaju. Starsza Katarzyna poszła za mąż za Jakóba Olbrachta Szczawińskiego, starostę łęczyckiego i gąbińskiego, który w roku 1679, ale już po śmierci żony, został nawet i wojewodą inowrocławskim. Katarzyna albowiem umarła w 1661. Byłato bardzo bogobojna i szczerotkliwa niewiasta. Mieszkała z mężem swoim także gdzieś blizko tych okolic, zapewne w Modliszowicach, bo w aktach parafialnych konieckich, pod d. 22 paźdz. 1660, zapisany jest obrzędek chrztu jéj syna Stanisława Karola. Trzymali do chrztu, Jan Lipski, starosta rawski i Zuzanna Konst. Korycińska z Gowarczowa. Dopełniał religijnego obrządku za pozwoleniem miejscowego proboszcza, ksiądz Stanisław Lipski kanonik płocki, proboszcz krzemieniecki. Katarzyna ze swojego majątku pomagała mężowi do fundancyi Reformatów w dziedzicznéj wsi Szczawinie. Soboty na cześć Najśw. Panny, a wigilie wszystkich świąt, na cześć patronów swoich, suszyła o chlebie i wodzie aż do zachodu. Kościołowi konieckiemu kosztowne podarowała szaty; do Skrzynna także złożyła ofiary— rostruhan na puszkę i bogaty kanak. Szczawiń-

ski po śmierci żony, ożenił się powtórnie. Siostra Katarzyny poszła za stryja Stanisława (*).

Stanisław, trzeci syn Jędrzeja, a brat najmłodszy Wojciecha i Mikołaja, był starostą brzeskim w Kujawach. Umarł w r. 1645. Rzadką przyjaźnią zaręczał się Stanisław z Mikołajem. Wspólnym kosztem z bratem uposażył on kaplicę Modliszowskich w Skrzynnie. Nadto wyznaczył wieczysty fundusz, żeby księża codzień śpiewali w kościele *officium* na cześć Najświęt. Panny. Ożenił się wreszcie Stanisław z córką Mikołaja, z młodszą siostrą Katarzyny. I zdaje się, że on z sobą imię Modliszowskich zaniósł do grobu, bo po braciach jak i po nim potomstwa nie zostało. Przynajmniéj nie słychać już od téj chwili o Modliszowskich, a gdyby rodzina nie wygasła, zostawiła by po sobie pamiątki, bo miała już za sobą i zasługi i historyczność.

W kościele skrzyńskim, w aktach tamecznéj parafii, znalazłby się zapewne nie jeden jeszcze niepodany tutaj szczegół o Modliszowskich.

Związki ich znakomite były. Nie wspomnieliśmy wyżéj jeszcze o jednym Janie Modliszowskim, bośmy nie wiedzieli jak go do rodziny przyczepić. Był ten Jan kuchmistrzem w. kor. starostą łowickim i gostyńskim. Matka jego Tamowska Ruliczanka, z domu była rodzoną siostrą Jana, podkanclerzego, lecz następnie biskupa w Poznaniu, Kujawach, naostatek arcybiskupa gnieźnieńskiego i prymasa zmarłego w r. 1606. Znakomita to była głowa ten prymas i wielkie jego znaczenie w Polsce. Przez takie związki Modliszowscy musieli koniecznie iść w górę, czekała ich świetniejsza jeszcze przyszłość. Umarł Jan kuchmistrz w r. 1629. Pochowany u ś. Jana w Warsz. gdzie do dziś dnia jest jego nagrobek wypisany przez Starowolskiego w *Monumenta.*

Modliszowscy pisali się ciągle dziedzicami na Końskich. Modliszowice swoje rodzinne przezwali starostwem. Starostą zape-

(*) Wiadomości podane przez Niesieckiego, dopełniliśmy tutaj z akt parafijalnych kościoła konieckiego

wne był nie kto inny, jak prosty rządca dóbr rozległych. Znaleźliśmy pod r. 1645 także w aktach chrztu kościoła parafialnego w Końskich, że w tym czasie podstarościm w Modliszowicach był Jan Bratkowski. Nazwisko to także szlacheckie z tutejszych okolic, sandomierskie, opoczyńskie. Utrzymywali więc panowie w Modliszowicach rządców dóbr, czyli tak nazwanych starostów.

W dawnych czasach, Modliszowscy mieszkali w innych stronach Polski, tam, gdzie piastowali godności i urzędy. Powoli, powoli, zaczęli się przyzwyczajać do swojego skromnego pałacyku w Modliszowicach i bogacili kościoły w Końskich i w Skrzynnie. Zawarli związki przyjacielskie i familijne z obywatelstwem z'okolic. I wtenczas właśnie, kiedy ich gwiazda zaćmiła się, kiedy przeznaczeniem losów, ród ich miał wygasnąć zupełnie, w okolicy Modliszowic mieszkali Szczawińscy, Lipscy, Korycińscy, Bębnowscy, Koranowscy, Wolscy, Dłuscy i Małachowscy. Nad wszystkich wynosił się więc właśnie dom Małachowskich, który także rozpościerał teraz coraz głębiéj siedziby swoje i posiadłości po dawnych dziedzinach Odrowążów. Małachowscy skupowali w tych stronach dobra i zakładali potęgę domu. Wkrótce cała ta ziemia przeszła w ich ręce, —i Odrowążów została tutaj pamięć tylko.

Rzecz dziwna, że w jednym prawie czasie wygaśli tutaj: Odrowążowie Konieccy i Duninowie Modliszowscy. Końskie i Modliszowice drogą kupna i układów, bezpośrednio, przeszły od dziedziców w linii prostéj, do rąk Małachowskich.

I wtedyto właśnie jak mówiliśmy mógł zamek Modliszowicki, Jan, biskup krakowski, Małachowski, zamienić w twierdzę małą dla swojej wygody, pokłaść te nazwy po murach i te oznaki swojego urzędu po bramie i pałacu. Wszystkie podania do niego zdają się odnosić. On tutaj, zdaje się, w opuszczonym od dawnych dziedziców dworcu, do siebie skupił całe życie, do siebie przywiązał całą uwagę, jaką zwracała na siebie rodzina Modliszowskich...

My też z boleścią spoglądaliśmy na te mury, które sterczą

w Modliszowicach od wieków, rozglądaliśmy przeszłość, wspominaliśmy dzieje dawne, i cienie postaci Modliszowskich migały się niewyraźnie, błędne, nierozświetlone przed oczami naszemi, które mgłą zaszły i łzami...

B.

LISTOWANIE.

(Wyjątek z Ath. Od. II z. 1 z pis. do J. I. Kraszewskiego).

Gdyby Cichoński nie ustawał w swéj chęci pracowania nad Sarbiewskim, i jeśliby swą pracą chciał zbogacić mój zbiorek, mógłbym mu podać projekt, abyśmy *junctis viribus* przetłumaczyli Sarbiewskiego: ja wziąłbym na siebie trzy piérwsze księgi, a on księgę IV i Epodon. Sarbiewskiego koniecznie przyswoić językowi polskiemu potrzeba, a dla jednego jestto praca i za długa i za trudna.

Tu miejsce jest wyznać, że szanowny literat ks. Ant. Moszyński obiecał nam także pomyśléć o Sarbiewskim—byle tylko zdrowie mu pozwoliło. Gdyby trwał w swoim zamiarze, prosilibyśmy go o przekład poezyi Sarbiewskiego pośmiertnych (Posthuma) i coś z epigrammatów. Lękamy się aby osoby, do których mowę obracamy, nie wzięły tego rozkładu pracy za jakąś z naszéj strony fanfaronadę; czynimy to dlatego, aby kilku biorących się do tłumaczeń jednych i tychże miejsc nie tłumaczyli, gdy szeroka gałąź polsko-łacińskiéj poezyi, tłumacząc nawet w jednym kierunku, da dosyć roboty.

Winienem dodać, że w téj chwili kończę tłumaczyć Kochanowskiego (będzie to tom II Przekładów). W mojéj robocie opuszczam te elegje, które już w Brodzińskim znalazły tłumacza, i dla wyliczonych przez pana świeżych przekładów p. S. Konopackiego pro-

szę tylko o Eleg. XII, ksi. III, bo inne, jako już przez Brodzińskiego przełożone, do mojego zakresu nie wchodzą.

Joachima Bielskiego tłumaczy młody utalentowany poeta p. Antoni Piętkiewicz, Klonowicza wyjątki z Victoria Deorum nie powiem od kogo są oczekiwane; tegoż Wesele Ruskie mam obiecane w oryginale od p. Mikołaja Malinowskiego, przekładem sam się zajmę.

Nad Krzyckim także pracuję.

Krom tych, inni nasi poeci łacińscy czekają tłumaczów. Zamiarem moim objąłem epokę półtora-wieczną, która u Wiszniewskiego nosi nazwę Zygmuntowskiéj (od 1500 – 1650). Wyliczać znane imiona i pisma polskie lub łacińskie owéj epoki, byłoby zbytecznêm.

Oceniono już ich i każdy ze światłych czytelników sam ich ocenia. Zamiaru naszego nie liczymy sobie za zasługę, lecz za proste dopełnienie powinności pod piękném hasłem: „służmy poczciwéj sławie, a jako kto może i t. d.

Jedni mówią że to będą rzeczy nudne, suche, klassyczne jak gdyby już je czytali, tłumaczą się że nic im do starych łaciników, jak gdyby to nie byli ich rodacy, i nie z téjże ziemi jedli chleb i czerpali natchnienie, co inni nasi poeci, do których imienia dumę rodzinną przywiązują; inni nakoniec naiwnie powtarzają: „a nam to na co?" na ten argument nié ma już odpowiedzi, chyba rzuciwszy pióro zawtórować: „a nam to na co?" lecz tego przynajmniéj z przekładami czynić nie myślę.

Kondratowicz.

NOWINY.

Drukuje się u Kaczanowskiego nowy zbiór powieści, pani Pauliny z L. W. pod tytułem: Godziny rozrywki (we dwóch tomach).

Album malowniczego, wydawanego przez Merzbacha, wyszedł zeszyt piąty, zawierający opis Podola, Barcellonę, wiersz oryginalny Lenartowicza p. t. *Cyganka*, i obrazek pod napisem: *na wodach Thunu.* Szósty zeszyt pod prassą.